NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. – Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 80 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 20 maja 1922. Nr. 20.

Rozwój żeglugi wiślanej

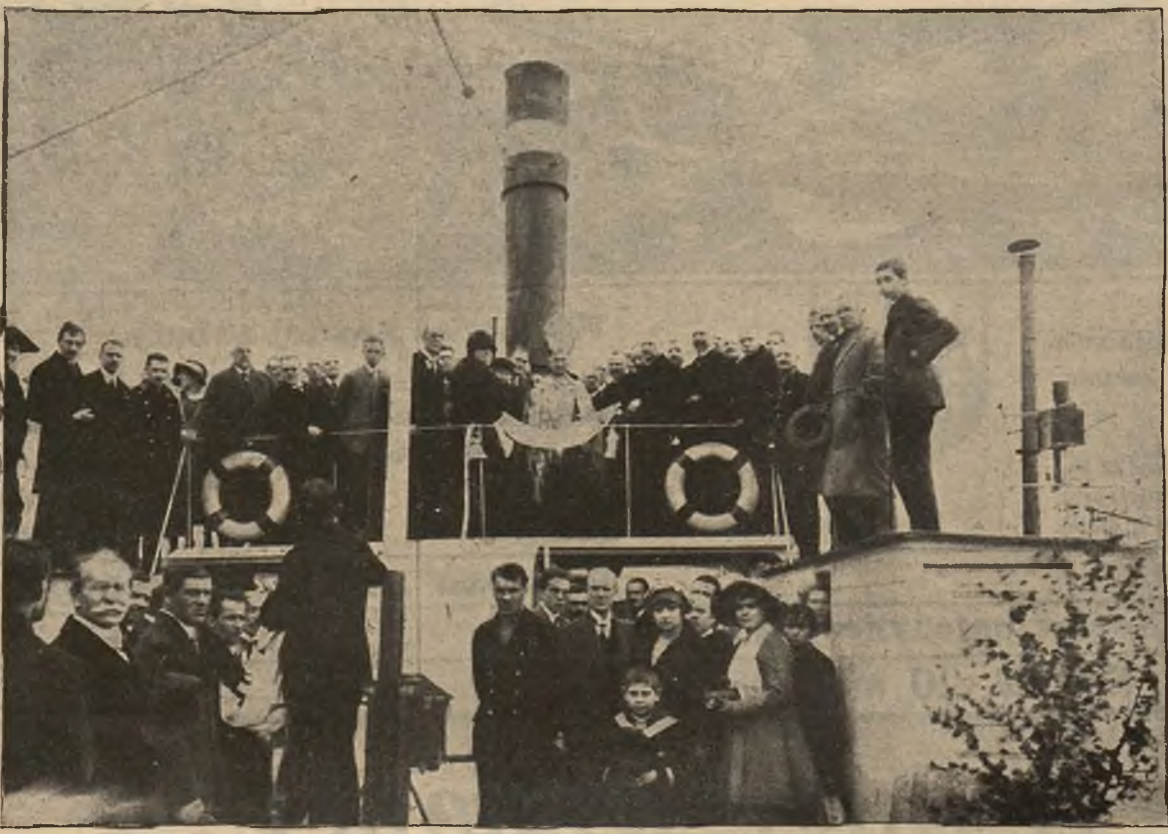


Przystań Towarzystwa „Żegluga Polska" w Krakowie podczas uroczystości poświęcenia statku pasażerskiego „Stanisław" w dniu 8-go maja b. r.

Rozwój żeglugi wiślanej.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Z chwilą gdy padły słupy graniczne, dzielące kraj nasz na trzy części, a królowa rzek polskich w całej swej długości, z wyjątkiem jedynie ujścia, należy niepodzielnie do nas, dołożono starań, aby żeglugę na niej, ten tak ważny czynnik komunikacyjny, podnieść, wzmocnić i ustalić. Wielkie zasługi w tym kierunku położyło Towarzystwo „Żegluga Polska", które w krótkim stosunkowo czasie z małych początków rozrosło się w potężną instytucyę, powołaną do odegrania ważnej roli w życiu ekonomicznem naszego kraju.



Rozwój żeglugi wiślanej: Ks. Infułat dr. Wądolny dokonuje aktu poświęcenia statku pasażerskiego „Stanisław".

W dniu 8 maja b. r., w uroczystość św. Stanisława, przypomniała się „Żegluga Polska" naszemu społeczeństwu, urządzając w Krakowie poświęcenie swego najnowszego statku pasażerskiego „Stanisław".

Po odprawieniu pontyfikalnego nabożeństwa w kościele N. P. Maryi dokonał ks. Infułat Wądolny poświęcenia bandery handlowej, poczem zaproszeni goście udali się do przystani „Żeglugi Polskiej" przy Trzecim Moście, gdzie oczekiwał już przystrojony świątecznie nowy statek pasażerski, który w nocy tego dnia przybył z warsztatów z Bydgoszczy. Ceremonii chrztu dokonał ks. Infułat Wądolny, przyczem funkcye rodziców chrzestnych pełnili p. wojewodzina Gałecka i p. prezydent J. K. Federowicz.

Po dokonaniu ceremonii chrztu złożył ks. Infułat Wądolny życzenia rozwoju Towarzystwu i podniósł, że tego rodzaju uroczystość obchodzoną jest w Krakowie po raz pierwszy. Następnie imieniem Rady Nadzorczej Tow. „Żegluga Polska" przemówił architekt Peroś, który oddał statek ochrzczony imieniem „Stanisław" w opiekę i zarząd Dyrekcyi, w ręce dyrektora dra Jurczyńskiego.

Jako trzeci mówca wystąpił dyr. dr. Jurczyński, i przedstawił historyę rozwoju Towarzystwa, które rozpoczynając w roku 1918 swoją działalność z kapitałem kilku tysięcy koron i 4-roma galarami, dzisiaj posiada już poważną flotylę wiślaną, a mianowicie: 5 statków, 3 łodzie motorowe, pogłębiarkę, około 100 galarów i kryp, mechaniczną szutrownię w Bogumiłowicach, warsztaty mechaniczne w Krakowie, w których wybudowano w r. 1921 kompletną łódź motorową „Pogoń" z blachy żelaznej i które zajmują się rozbudowywaniem parku galarowego.— Przemówienie swoje zakończył dr. Jurczyński wydaniem rozkazu podniesienia na maszt bandery handlowej Towarzystwa.

Po dokonaniu zdjęcia fotograficznego podejmował Zarząd Towarzystwa „Żegluga Polska" z dyr. drem. Jurczyńskim i jego żoną, inż. Gierulą i p. Podgórskim na czele zaproszonych gości śniadaniem, podczas którego odbyła się rewia statków i łodzi motorowych Towarzystwa. Przed oczyma gości zebranych na statku „Stanisław" przepłynęła „Marya", „Płock", „Jagienka", „Pogoń", „Krakus" i „Czwartak". — Oprócz tych statków posiada Towarzystwo statek „Polonia", który znajduje się obecnie w Bydgoszczy w przeróbce oraz statek „Książę Józef", będący jeszcze w posiadaniu rządu z tytułu rekwizycyi wojennych.

Wśród gości zauważono wojewodę Gałeckiego z małżonką, wicewojewodę Kowalikowskiego, starostę dra Bala, prezydenta Federowicza i wiceprez. Wielgusa, rektora Uniw. prof. J. Nowaka, b. wicem. Dudka, inż. Poźniaka, dyr. P. K. K. P. Makowskiego, dyr. banków Lewandowskiego, Walczaka, A. Konopkę, Strzyżowskiego, dyr. „Floryanki" Dydyńskiego, dyr. wodociągów inż. Jaszczurowskiego, prezesa Sądu Pelca, prokuratora Brasona i w. in.

Po rewii wyruszono do Bielan. Po drugiej stronie pokładu wśród dźwięków muzyki I go Pułku kolejowego urzędnicy i urzędniczki Towarzystwa z p. Sołtysem na czele i przy udziale części zaproszonych gości zabawiali się tańcami, gdy starsi podziwiali śliczną okolicę od Krakowa do Bielan. — O godzinie 2 i pół wrócił statek z gośćmi z Bielan do Krakowa, a miłe wrażenie uroczystości i wycieczki wśród ślicznej pogody pozostanie napewno długo w pamięci uczestników.

W interesie naszego drobnego przem. i rękodzieła.

Krajowy Patronat Rękodzieł i Drobnego Przemysłu zajmuje się popieraniem drobnego przemysłu i rękodzieła przez organizowanie po miastach i po wsiach zawodowych kursów dla których wykształcono szereg własnych instruktorów. W ostatnich czasach przeprowadzono w Krakowie dwa kursa 5-cio miesięczne koszykarstwa galanteryjnego, kurs buchalteryi dla metalowców, rysunkowy dla stolarzy i bieliźniarski. Na prowincyi przeprowadzono cały szereg kursów bieliźniarskich i krawieckich, tkackich, stolarskich, kołodziejskich i koszykarskich. Patronat po ukończeniu każdego kursu organizuje frekwentantów w stowarzyszenia, umożliwiając im prowadzenie własnej pracowni. Prócz tego daje wskazówki, udziela rad w kierunku zaopatrzenia się rękodzielników i drobnych przemysłowców w narzędzia, maszyny i surowce.

Patronat zorganizował w Małopolsce przemysł koszykarski, którego rezultatem jest „Syndykat Koszykarki S. A.", obejmujący obecnie całą Polskę.

W Krakowie istnieje ekspozytura Patronatu, do której zakresu działania należą powiaty zachodniej Małopolski. Patronat jest instytucyą państwową i pokrywa z własnych funduszów koszta prac organizacyjnych.

Kurs koszykarstwa galanteryjnego rozpoczął się w Krakowie w połowie grudnia 1921 r. i ukończył się 30 kwietnia b. r. Patronat urządził wystawę wyrobionych na kursie przedmiotów, które znalazły powszechne uznanie. Kurs ukończyło 35 frekwentantek i frekwentantów, przeważnie z kół inteligencyi, a miał on na celu nauczenia tego przemysłu i dania przez to możności zarobkowania. Nauki udzielało dwóch instruktorów, a była ona bezpłatna. Obecnie zorganizował Patronat absolwentów kursu w stowarzyszenie, z ograniczoną poręką. Do spółki przystąpiło 25 osób, które na własny rachunek otwierają w Krakowie pracownię wyrobów koszykarstwa galanteryjnego. W pracowni tej uwzględniany będzie kierunek artystyczny i staranne wykonanie.

Otwarcie wystawy wyrobów kursistów połączone z uroczystem rozdaniem świadectw frekwentantom, odbyło się przy licznym udziale gości w dniu 8 go maja b. r. Wzięli w niem udział przedstawiciele władz, prasy, Syndykatu koszykarskiego i ze strony Tymczasowego Wydziału Samorządowego szef departamentu przemysłowego, dr. Dwernicki, ze strony Patronatu we Lwowie dr. Schoenett i kierownik Ekspozytury Patronatu w Krakowie inż. Chołoniewski.

„Otwarcie „Muzeum Wojska" w Warszawie.

W Warszawie powstała nowa instytucya, której powołanie do życia powitać należy z pełnem zadowoleniem. Jest to „Muzeum Wojska", mające skupić w sobie wszystko to, co z naszą wojskowością ma cośkolwiek wspólnego i może rzucić światło na dzieje polskiego oręża, szczycące się tak chlubnemi kartami, jakich pozazdrościć mu może i musi każdy inny naród. Z racyi swego geograficznego położenia była Polska narażoną na ciągłe napady swych sąsiadów, duch rycerski krzewił się w naszym na-



Rozwój żeglugi wiślanej. Ks. Infułat dr. Wądolny w otoczeniu rodziców chrzestnych statku „Stanisław", wojewodziny Gałeckiej i prezydenta Federowicza, oraz uczestników uroczystości poświęcenia.

rodzie i potężniał stale, nie było też przesadą twierdzenie, do dnia dzisiejszego utarte, że „każdy Polak to urodzony żołnierz". W braku regularnej armii spieszył każdy w razie potrzeby w szeregi, każdy dwór szlachecki był zbrojownią w miniaturze, to samo powiedzieć można o organizacyach mieszczańskich, które również na swą rękę podejmowały samoobronę. W miarę udoskonalania się sztuki wojennej, nowe wynalazki zastępowały dawne, prymitywne narzędzia walki, które przechowywano troskliwie, jako pamiątkę dawnych czasów. Wiele z tego zniszczało, sporo jednak cennych zabytków, niemych, a jednak wiele mówiących świadków naszej świetnej przeszłości, dochowało się do naszych dni i było ze wszechmiar wskazanem postarać się o wspólne dla nich pomieszczenie, które mogłoby dać pogląd na rozwój naszej sztuki wojowania.

Podobne instytucye posiadają wszystkie inne kraje, oswobodzona Polska nie mogła zatem pozostać za nimi w tyle, zwłaszcza, że rozporządza nadzwyczaj cennym materyałem, przeważnie jednak rozproszonym i dla ogółu niedostępnym. Należało zatem zgromadzić go w jednem miejscu i umiejętnie uporządkować, a zajęło się tem „Muzeum Wojska", założone w Warszawie głównie dzięki inicyatywie pułkownika Gembarzewskiego. Na razie zrobiono początek. Piękne zamiary założycieli poparła ofiarność jednostek, rozumiejących ważność i znaczenie tego przedsięwzięcia, dalszy rozwój jego leży w rękach ogółu polskiego, który niezawodnie pospieszy z wydatną pomocą, składając, czy to w darze, czy to w depozycie, najrozmaitsze zabytki natury wojskowej, chroniąc je w ten sposób od zniszczenia i udostępniając ich poznanie. A jest ich po polskich domach mnogość wielka i rozmaitość, niektóre z nich, nieraz porzucone w zapomnieniu, posiadają nadzwyczajną wartość historyczną i mogą się stać prawdziwą ozdobą nowego muzeum, przypominając najświetniejsze czasy naszych dziejów od zamierzchłej starożytności począwszy, na ostatniej wojnie skończywszy.

W ubiegłym miesiącu odbyło się w Warszawie uroczyste otwarcie „Muzeum Wojska" (Podwale 15) przy udziale: jen. broni Hallera, jen. adjutanta Naczelnika Państwa jen. Jacyny, J. E. biskupa polowego wojsk polskich Galla, przedstawicieli rządu, świata artystycznego, literackiego i prasy oraz wojskowości.

Otwarcia dokonał jen. J. Haller krótkiem przemówieniem, poczem dyr. Muzeum płk. Gembarzewski zaznajomił zebranych z dziejami powstania Muzeum, wskazał trudności, jakie napotykała praca około jego tworzenia, wreszcie podniósł zasługi licznych ofiarodawców, a zwłaszcza p. Antoniego Strzałeckiego i rodziny wybitnego malarza polskiego Brandta. Następnie przystąpiono do zwiedzania Muzeum pod kierunkiem dyr. Gembarzewskiego, który udzielał szczegółowych objaśnień.

Muzeum mieści się w 6-ciu parterowych salach gmachu Muzeum Narodowego, przyczem zbiory rozmieszczono tak, że całość ma charakter retrospektywny, bo od epoki kamiennej, kiedy jedyną bronią był młotek z kamienia, a kończąc na uzbrojeniu z ostatniej wojny europejskiej.

W pierwszej więc sali znajdujemy, poza kamiennym orężem, zbiór mieczów i szabel, broni palnej, pistoletów, rusznic, samopałów, muszkietów i t. p.

Druga sala mieści sztandary, a więc spółczesne, zdemobilizowanych pułków, zdobyte na bolszewikach, austryackie oraz dawne polskie z różnych czasów. Najobszerniejsza sala mieści zbiory z epoki Królestwa Kongresowego, m. in. np. siodło Napoleona I z 1812 roku. Specyalną całość tworzą okazy ze zbiorów Brandta, jak bezcenne rzędy, siodła, czapraki, buńczuki, sahajdaki.

W ostatniej sali mieści się broń i mundury wojska polskiego oraz polskich formacyi wojskowych. Całość przedstawia się wspaniale, niestety szczupłość lokalu nie pozwala na należyte rozmieszczenie zbiorów.



W interesie naszego drobnego przemysłu i rękodzieła: Jedna ze sal Wystawy wyrobów koszykarskich, wykonanych na kursie, urządzonym w Krakowie staraniem Ekspozytury Krajowego Patronatu rękodzieł i drobnego przemysłu.

Stracona placówka.

Sprawa górnośląska, ciągnąca się jak wąż morski od chwili podpisania traktatu wersalskiego i odkładana stale napóźniejszy czas, dobiega ostatecznego załatwienia. Podział polityczny tego, zdaniem Lloyda George'a, „odwiecznie niemieckiego kraju" nastąpił na podstawie wyników plebiscytu, o którego bezstronnem przeprowadzeniu dałoby się wiele powiedzieć, sprawy ekonomiczne, dotyczące rozćwiartowanych obecnie części omówiono na konferencyi genewskiej, odbytej pod przewodnictwem polityka szwajcarskiego, Calondera. Obecnie, gdy doszło już do ostatecznego porozumienia między Polską a Niemcami, a układ odnośny w tych dniach został podpisany, nic już nie stoi na przeszkodzie, aby Polska objęła w swe posiadanie przyznane jej obszary. Ma to nastąpić w najbliższym czasie, o ile oczywiście nie wyłoni się tymczasem jakaś nowa nieprzewidziana przeszkoda, w których wynajdywaniu są Niemcy prawdziwymi mistrzami, a Koalicya, względnie Lloyd George, daje im posłuch i stara się je uwzględnić.

Wschodnia część Górnego Śląska, przyznana Polsce, posiada tak przeważający procent ludności polskiej, że nie zdały się na nic wszelkie niemieckie

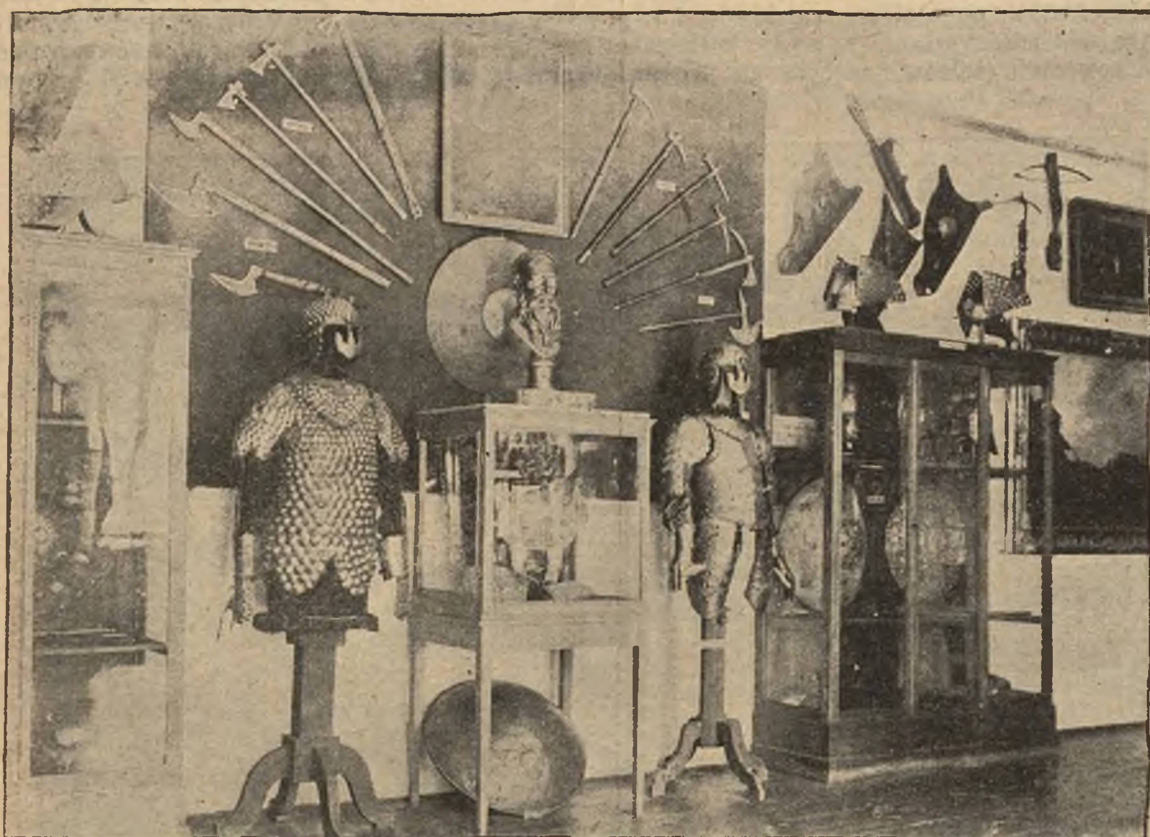


Otwarcie „Muzeum Wojska" w Warszawie: 1) Dział Księstwa Warszawskiego. 2) Motyw ze zbrojowni (husarz).

sztuczki, stosowane umiejętnie podczas głosowania. W gorszem położeniu znalazła się część zachodnia, silniej przez Niemców skolonizowana, gdzie ponadto na wynik plebiscytu wpłynęło rozmieszczenie tamże większych miast i ośrodków przemysłowych, z zgrupowaną w nich znaczną liczbą żywiołu niemieckiego.

w tej właśnie, straconej dla nas części Górnego Śląska, garść następujących uwag:

„W najbliższych dniach obejmie Polska przyznaną jej część Górnego Śląska. Wypada przeto pomyśleć i o tych obecnie straconych powiatach, które obsadzą oddziały niemieckiej Reichswehry. Taką pla



Otwarcie „Muzeum Wojska" w Warszawie: Zbrojownia z mauzoleum Stefana Czarnieckiego.

Na tym obszarze straciliśmy wiele placówek, które przyznane zostały Niemcom, a ich polską ludność czeka los „mniejszości narodowych", zostających wprawdzie pod opieką traktatu wersalskiego, lecz z góry przygotowaną na dalszy okres ciemiężenia i wynaradawiania. Niemcy dali dotąd dosyć dowodów, jak szanują postanowienia traktatu, który podpisali, ale tylko dlatego, iż wówczas nie było innego wyjścia, a dziś tego serdecznie żałują.

Z tego powodu nadsyła nam nasz korespondent (J. d'E.), jeden z wybitnych działaczy narodowych

cówką, najbardziej na zachód eksponowaną, był przedewszystkiem powiat głubczycki w 98 proc. skolonizowany przez Niemców, w południowej części z pewnym odsetkiem ludności, mówiącej narzeczem morawskiem. Na szali głosowania wraz z przeszło 100 000 głosów emigranckich zaważyły w liczbie około 60 tysięcy głosy tego, nie należącego ani historycznie (Czechy!), ani etnograficznie do Górnego Śląska powiatu, odrywając od polskiej macierzy przy podziale Zabrze, Gliwice, Racibórz i Bytom. Mimo to, a może właśnie tem bardziej należy się szczery

podziw tym ludziom, którzy mimo brutalnego terroru sztosstruplerów i bandyckich bojówek Orgeschu, mimo niezliczone trudności i niebezpieczeństwa, wytrwali na z góry straconej placówce do chwili, w której ich wódz i wielki obywatel Wojciech Korfanty po plebiscycie im ją rozkazał opuścić.

Po aresztowanym w styczniu 1921 r. p. Ludwiku Koniecznym za udział w 2-giem powstaniu, kierownictwo objął nawierzytelniony przy kontrolorze koalicyjnym młody akademik, p. Juliusz d'Erdt, którego radą i czynem wspierali dzielni współpracownicy w osobach polskiego doradcy technicznego przy komisyi międzyaliackiej p. Ernesta Deponte, zastępcy



Stracona placówka: Polski komisarz plebiscytowy na powiat głubczycki, p. Juliusz d'Erdt.

kierownika p. Olszewskiego, a zwłaszcza niestrudzonego sekretarza, kasyera i wywiadowcy p. Józefa Kabuta, znanego pochlebnie działacza narodowego z Westfalii. Kontrolerem powiatu był lojalny poli-



Stracona placówka: Członkowie Polskiego Komitetu Plebiscytowego na powiat głubczycki (Górny Śląsk) z kierownikiem p. Juljuszem d'Erdtem (1), Janem Olszewskim (2), Józefem Kabutem (3) i Ernestem Deponte (4) na czele. Fot. „Helios" Racibórz.

RENE BURES.

Zil=X...

261 tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Czyżby ośmielili się skazać go na śmierć, jedynie na tych poszlakach?

— Czegoż ty więcej chcesz jeszcze, mój kochany. Dla sądu dowody są aż nadto wystarczające. Przecież nie przypuszczasz, żeby ci panowie nie zastanawiali się nad wszystkiemi ewentualnościami, tak, jak my to robimy. Sądzić będą, opierając wszystko na fakcie znalezienia rewolweru Jerzego Dambleuse, przy kapitanie. To przecież jest faktem niestety, niezbitym faktem matematycznym, jak się wyraził ten idyotyczny, mały sędzia.

— Ale tamte inne zbrodnie?

— Tamtemi, zajmią się tylko dla formy. Ten, jest dla nich najważniejszym. Do niego przyłączone zostaną te inne i oskarżony odpowie za wszystkie.

— A więc on jest zgubionym — wyrzekł Dalton.

— Możliwe. Chyba, że zechce mówić, a on musi coś wiedzieć.

— To niemożliwe. Byłby przecież już powiedział, choćby dla własnej obrony.

— Kto to wiedzieć może.

Zamilkliśmy wszyscy. Zmrok zapadał coraz większy. Zatopieni w rozmyślaniach paliliśmy papierosy, a te rozmyślania nasze nie były naprawdę bardzo wesołe. Nasze wysiłki objęły się dotąd bezowocnie o przypuszczenia jedynie — a nigdy o fakt, o dowód konkretny. Że te wszystkie trzy zbrodnie związane były z sobą, o tem wątpić nie było można. Ale jak? przez kogo? Tyle wiedzieliśmy o tem, co pierwszego dnia. Że listy Zakliny Dubois przyczyniły się do spełnienia tych zdrodni, o tem wiedzieliśmy także, lecz czy kradzież ta była celem jedynym? A może był to fakt, oderwany zupełnie? W takim razie Rivero Boldavo, który teraz zamknięty był w więzieniu za oszustwa w klubie, nie wiedział nic o nich. Ale mógł wiedzieć i działać w zbrodni popełnionej na kapitanie de Limandoux. A ten ostatni, jakąż mógł rolę odegrać w tej tragedyi, której się stał ofiarą? Ten człowiek czystych, nieskalanych obyczajów, spokojny, cichy, oficer bez skazy, był tym, na którego rozkaz kradziono listy rywala, aby z nich uczynić podły użytek? Dlaczegoż on został zamordowany rewolwerem należącym do Jerzego Dambleuse? A kimże była znowu ta tajemnicza mała dziewczynka, na widok której, Jerzy Dambleuse wpadł w omdlenie? Któż i kiedy mógł nam odpowiedzieć na wszystkie te pytania?

A jeszcze ten nieznajomy, ten „Anglik" o którym również nikt nic nie wiedział?

Ta myśl ostatnia wyrwała mnie z rozmyślania.

— Czy niema dotąd żadnych wiadomości o tym zagadkowym Angliku zabitym w gabinecie senatora Poivrier — zapytałem.

— Niema żadnych — odpowiedział Dalton.

— Czy ci się to nie wydaje dziwnem?

— Hm... zapewnie...

— Niema nic — odezwał się Iggins — a jednak... lecz jest to tak niewyraźne, zamglone. Odebrałem dziś rano raport od mojego niemieckiego ajenta z Berlina, któremu powierzyłem baczenie nad wszystkiemi tajemniczemi zniknięciami sygnalizowanemi w tym czasie, w dyrekcyach policyi zagranicznej.

— No... no... cóż on wam doniósł?

— Doniósł mi, że z policyi sekretnej pewnego mocarstwa, które zależne jest bezwzględnie od cesarza samego, a którą admistrują tylko sami oficerowie... jeden numer matrykuły zniknął niespodziewanie.

— Jakto? zniknął — zadziwił się Dalton.

— Został wykreślony!... Wiecie zapewne, że ludzie używani do tych sekretnych dochodzeń, wybierani zostają w tajemnicy zupełnej. Uchodzą nawet w świecie za nieżyjących już. Najczęściej wybierani są z tych rodzin, gdzie stał się jakiś głośny skandal, sprawa niehonorowa. Zamiast popełnić samobójstwo konieczne, taki pan wstępuje do tej sekretnej policyi. Doskonale bywa wynagradzany. Niektórzy przyzwyczajają się do tego nowego fachu — lubią go nawet. Zajęcie to jest bardzo niebezpieczne i ryzykowne. To są ludzie, których przed śmiercią ich jeszcze, można uważać za nieżyjących. Oznaczeni są tylko porządkowymi numerami, a sam tylko cesarz zna ich nazwiska.

— A więc? — zapytał Dalton.

— A więc, mój ajent doniósł mi, że kilka dni temu, jeden z tych numerów został wykreślony.

— Z jakiej przyczyny to się staje?

— Z przyczyny śmierci lub zdrady — odpowiedział Iggins — zapalając świeżą fajkę.

— Co w końcu na jedno wychodzi?

— Tak.

— A więc myślicie?

— Ja nic nie myślę. Jest to fakt, który może dotyczy tego Anglika.

— Ah! Iggins — wyrzekłem tknięty nagłą myślą — czy też nie dotyczy on tego Zila tajemniczego, o którym istnieniu musiał wiedzieć kapitan de Limandoux, skoro imię to miał zapisane na kopercie zegarka.

— I to być może — mruknął Iggins.

W tej chwili chwili wszedł ajent, numer 32 i bez słowa podał Igginsowi dziennik jakiś. Zakreślona była na nim następująca notatka:

„M. S. 27.002 prawdopodobnie odrzucona. Pojutrze".

— Nareszcie!... westchnął z ulgą Dalton.

Iggins raz jeszcze głośno przeczytał anons sylabizując go powoli:

— „M. S. 27.002, prawdopobnie odrzucona. Pojutrze".

— Nareszcie! — westchnął z ulgą Dalton.

Iggins raz jeszcze głośno przeczytał anons sylabizując go powoli:

— „M. S. 27.002, prawdopodobnie odrzucona. Pojutrze".

— Hm... hm... — mruknął... — Coś tu jest ciekawego.

Sprawdził tytuł i numer dziennika i dodał zwracając się do numeru 32.

— Doskonale. To numer „Burzy". Możesz już odejść mój przyjacielu. Należy dalej czuwać nad anonsem i działem prywatnej korespondencyi dzienników. Zrozumiane?

— Zrozumiane.

Numer 32 ukłonił się i wyszedł nie wyrzekłszy nic więcej.

Iggins wstał, oparł się o kominek i zaczął gwizdać, nabijając fajkę. W ważnych chwilach, potrzebujących namysłu, nie opuszczał on nigdy tej „pocieszycielki" rozjaśniającej mu myśli. Dalton siedział zamyślony, a ja raz jeszcze odczytywałem ciekawy anons, który tak w porę zjawił się by podtrzymać upadającą naszą energię.

— Co to u dyabła znaczyć może? — zapytał w końcu Dalton.

— Nie wiem — odparł Iggins. Ale wątpić nie można, że to ma pewien związek z naszą sprawą.

— M. S. i 27.002! Dwa znaki razem złączone. Tu nie może być mowy o przypadku... To napewno tyczy się naszej sprawy.

— Oczywiście — potwierdził Dalton.

— Ale co może znaczyć ten zwrot: „prawdopodobnie odrzucona"?

— Rodzaj żeński...

— Tak... Nic nie rozumię.

— Cicho, moi drodzy — rzekł Dalton. — Gdyby jeszcze jedno słowo... mielibyśmy rozwiązanie zagadki naszej. Ci, którzy używają do porozumienia się tej korespondencyi, nie grzeszą ostrożnością. Co prawda wiedzieć nie mogą, że znanym jest nam tekst rebusu zapisanego przez kapitana de Limandoux w swoim zegarku.

— Dobrze uczyniliśmy nie podając go do wiadomości publicznej.

— Oczywiście, ale cóżeśmy na tem wygrali?

— Przepraszam was — odezwałem się. — Anons ten obudził naszą uwagę, a to jest rzecz bardzo ważną. Przypuszczać można, że ci, którzy w ten sposób korespondują, nabrali ufności do tego środka i dalej w ten sam sposób porozumiewać się będą. Musimy zdwoić naszą uwagę i czujność.

— Zapewne — odpowiedział Iggins — ale nie wierzę w twoje rozumowanie Vallorbe. Zapominasz o jednej rzeczy.

— O czem?

— Tam, jest słowo „pojutrze", które jest ostatniem w anosie. To musi być jakaś schadzka, spotkanie, które może nie być już powtórzone.

— Oh! wiedzieć, wiedzieć, co przyniesie to „pojutrze" — westchnął Dalton.

— Może znowu jakaś zbrodnia popełniona zostanie?

— Co zrobimy? Czy mamy może ostrzedz tych, którym grozi niebezpieczeństwo?

— Nie — wyrzekł stanowczym głosem Iggins. Nie traćmy w ten sposób naszych szans. Wszystko to ma największą wartość dla nas — którzy sami wiemy tylko to, co wiemy. Policya uznałaby nas za szaleńców. Czuwajmy tylko... czuwajmy bacznie. Każemy pojutrze strzedz gorliwie wszystkich tych, którzy mogą być w mięszani w tę sprawę. Podejrzliwość naszych nieprzyjaciół jest uśpiona. Zasadzka będzie doskonała. My zaś tego dnia pokazywać się będziemy jak najmniej, aby ich nie przestraszyć.

— Dobrze — odparł Dalton — ale co robić do tego dnia.

— Mamy mnóstwo poszukiwań do uskutecznienia.

— Jakie?

— Najsamprzód trzeba przeszukać w ostatnich numerach „Burzy", aby się przekonać, czy podobne prywatne korespondencye już tam umieszczone nie zostały, lub czy też jeden ze znajomych nam znaków, nie był tam wydrukowany.

— Doskonale — a dalej?

— Dalej — musimy przeprowadzić śledztwo w redakcyi „Burzy", gdzie dowiemy się o tym, lub o tej, która anons ten ostatni podała do administracyi.

— Anons mógł być przysłanym.

— To możliwe... ale nie sądzę. Ten, który używa tego sposobu korespondencyi, zanadto się zapewne lęka skompromitowania się listem.

— Mógł pismo swoje zmienić, lub użyć słów drukowanych wyciętych gdziebądź.

— Możliwe. Sprawdzimy to wszystko.

— Następnie?

— Następnie! Dowiedzieć się musimy, czy nie ukazała się jaka korespondencya pod znakami M. S. 27002, w miesiącach, które poprzedziły wszystkie te zbrodnie.

— Ale w tym anonsie — zauważyłem — nie ma mowy o Zilu.

— Właśnie myślę o tem — odparł Iggins. Po odkryciu tego oryginalnego rebusa „X-Zil — M. S. 27.002" badaliśmy nieprawdaż, czy każden z tych znaków przedstawia jaką osobę, jaki element odmienny, czy też chodziło o jedność, którą piszący chciał zapamiętać i notował je cyframi i literami.

— Tak — rzekł Dalton — a więc?

— A więc sądzę, że teraz pomylić się już nie można odpowiedział Iggins.

— Jest kilka osób? nieprawdaż?

— Tak. Przynajmniej X i Zil i M. S. z 27.002 nie przedstawiają jednej i tej samej osoby. Jasnem jest, że M. S. 27.002 pisze, lub też piszą do niego. Prawdopodobnem jest również, że Zil lub X, lub też ta jedna osoba przedstawiona przez Zil i X równocześnie, pisze do tamtego.

— Tak, to jest prawdopodobnem.

— I dlatego myślę, że na ten anons, będzie jeszcze jakaś odpowiedź.

— To nie jest koniecznem. Ten, do którego pisano, nimea może potrzeby dać odpowiedzi. Można i tę ewentualność wziąć pod uwagę.

— Czekajcie — ja jeszcze inną widzę w tem kombinacye — rzekł Dalton. Można czynić dwa przypuszczenia: albo M. S. 27 002 pisze do X-Zila, lub też X-Zil pisze do M. S. 27.002 A więc odpowiedź, o ile wogóle będzie, zaadresowaną zostanie pod znakami M. S. 27.002 albo X-Zil.

— Doskonale, prawdopodobniejszem jednak będzie zdaje mi się, przypuszczać, że ludzie tak ostrożni, posłużą się tymi samymi znakami co poprzednio.

— Przeciwnie — zauważył Dalton. Zmieniając znaki, wywiodą w pole czujność tych, którym nie znany jest w całości rebus kapitana de Limandoux.

— Tak... tak... wszystko jest możliwe w tej przeklętej sprawie — mruknął Iggins.

— Ale, ale — przypomniał sobie Dalton — jest jeszcze coś, o czem zapomnieć nie można. Czuwanie przed okienkami poste-restante.

— Tak — potwierdził Iggins. — Numer 8 się ten zajmie. To jest konieczne, choć wątpię, żeby dało jaki dobry rezultat.

— Musimy wiedzieć zatem, czy nie nadszedł list jaki na poste-restante pod literami X-Zil lub M. S. 27.002 w dniach ostatnich i czy nie nadejdzie jutro lub pojutrze.

— To już wszystko, zdaje się?

— Wszystko — rzekł Iggins. — Sam się zajmę wywiadem w „Burzy". Wy zaś wydajcie stosowne rozkazy, co do reszty. Jeżeli się nie spotkamy dziś wieczór — badźcie jutro o godzinie piątej w kawiarni Amerykańskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

15):

Ascott, który był wybornym marynarzem, nie łudził się płonną nadzieją, że Niagara zdoła uciec przed goniącą ich fregatą. Ale ponieważ tu szło o życie, nie tylko jego towarzyszy, ale i o jego własne oraz nad wszystko mu drogiej Prozerpiny, próbował wszelkich sposobów przyspieszenia biegu okrętu, żeby uniknąć losu, który niewątpliwie ich wszystkich oczekiwał. Na goniącym okręcie żaden krzyk nie dawał się słyszeć; wszystkie manewra wykonywane były w milczeniu i z dziwnym porządkiem.

Chociaż bieg fregaty bardzo był szybki, niewiele jednak na Niagarze zyskiwano dotąd, łatwo przecież można było przewidzieć, że musi ta pewien przeciąg czasu zrównać się zupełnie z nami. Jedyny sposób ocalenia, jaki nam mógł pozostać jeszcze było, żeby chwila ta nie nastąpiła przed nadejściem nocy. Podczas ciemności bowiem można było zmienić cały kierunek drogi, a na morzu trudno znaleźć ślady ucieczki. Ale żeby dokazać tego, trzeba było spieszyć bieg Niagary i nawet bardzo przyspieszyć!

— Armaty do morza — zawołał Ascott.

I armaty wyrwane z lawet zostały do morza wrzucone.

To ulżenie widocznie powiększyło szybkość Niagary, nie tyle jednak, żeby być zupełnie pewnymi, że fregata nas nie doścignie.

— Do morza wszystkie baryłki z wodą słodką zawołał Ascott.

— Ależ Ascocie, zrobił mu uwagę porucznik Thompson — który oddawna zachowywał milczenie — chciej zważyć, że jeżeli cały nasz zapas wody słodkiej każesz wrzucić do morza, to będziemy musieli jutro wszyscy z pragnienia umrzeć.

— Nie będzie jutra dla nas, poruczniku — odpowiedział Ascott — jeżeli damy się schwytać temu psu gończemu, co nas tak zajadle ściga od rana.

— Ależ Ascocie...

— Cicho, bądź mój poruczniku.

— Wszystko napróżno — mówił dalej sam do siebie Ascot — czując cały ciężar odpowiedzialności, którą nagromadził na siebie, wszystko napróżno, nie sprostamy nigdy w szybkości tej przeklętej fregacie. Cóż teraz robić? — odezwał się głośno do swoich towarzyszy. — Powtarzam wam jeszcze, że niepodobieństwem jest dla nas bronić się przeciw tej fregacie. A strzelać nie mamy już armat. Radźcie, co teraz począć?

— Oddaj dowództwo w ręce Cartera, to jedyna rada — odezwał się głos jakiś pomiędzy stronnikami tego ostatniego.

— Ascott na te słowa zbladł okropnie, proponowano mu, żeby w chwili niebezpieczeństwa złożył dowództwo w ręce swojego współzawodnika, było to podwójną przewagą dla niego.

— A ja nie przyjmę tego dowództwa — odpowiedział Carter.

Tę odpowiedź musiał natchnąć jego dobry anioł, bo ona ocaliła jego i jego wspólników od straszliwych następstw, które wkrótce osądzić sami będziecie mogli. Ascott mówił dalej:

— No, radźcie, co mamy robić, niebezpieczeństwo coraz groźniejsze się staje. Jeszcze nie domówił tych słów, kiedy ogromna, czerwona, rozpalona kula armatnia przeszła ponad jego głową, i ugodziwszy w wielki żagiel wielkiego masztu, zapaliła go płomieniem.

— Posyłają nam ogień — rzekł Ascott — którego kula ta rozjątrzyła do wściekłości, jakby policzek w twarz odebrany — posyłają nam ogień, więc ogień za ogień im oddajmy, wnoszę żeby wysadzić w powietrze Niagarę, a nie oddawać jej tym psim synom.

— Zgoda! — zawołali wszyscy.

— To ja będę miał zaszczyt wysadzić w powietrze nasz okręt — zawołał Ascott — przynieście mi pochodnię; poruczniku — mówił dalej odwracając się do Thompsona — poruczniku, zanotuj to na twoim raporcie.

— Jużem to uczynił — odrzekł Thompson i dobywając swój raport przeczytał głośno:

— Wiatr południowo-wschodni, powietrze dość chłodne. — Jesteśmy gonieni przez jakąś fregatę, która posłała nam w tej chwili rozpaloną kulę. — Ascott, żeby uniknąć pożaru, ma wysadzić w powietrze nasz okręt, podpalając skład prochu. — Stan zdrowia osady ciągle jak najpomyślniejszy.

Przyniesiono Ascottowi pochodnię rozpaloną. Straszliwa myśl wysadzenia Niagary w powietrze rzuciła okropny postrach pomiędzy deportowane, prosiły wszystkie Ascotta, żeby odstąpił od tego srogiego zamiaru.... ale Ascott, który zbyt dobrze przeczuwał los, co go za kilka minut miał oczekiwać, nie spuszczał zwroku z tej fregaty, zastraszającej swą spokojnością, z którą już niepodobieństwo było walczyć w szybkości; zbliżała się ona, zbliżała ciągle, grożąc Niagarze jak ptak drapieżny, który goni swoją zdobycz. Już tak była blisko, że można było doskonale majtków jej rozeznać, jeszcze kilka minut, a głos ich będzie mógł być słyszanym, deportowane podwoiły swoje prośby, całowały ręce Ascotta, ściskały jego nogi. W chwili kiedy się już zdawał być wzruszony ich prośbami, druga kula rozpalona, wystrzelona z fregaty, urwała głowę Prozerpinie. Ciało tej pięknej nierządnicy upadło kilka kroków od Ascotta, otoczonego deportowanemi błagającemi go o zaniechanie straszliwego zamiaru; wzrok Ascotta przybrał w jednej chwili wyraz obłąkania.

— Z drogi — zawołał — z drogi — i rozpychając przed sobą kobiety na prawo i na lewo, utorował sobie pomiędzy nimi drogę, jak byk raniony, kiedy się rzuca wściekły na oślep. Ujął w tę rękę, w której nie trzmał pochodni, zakrwawione ciało swojej kochanki, to martwe ciało bez głowy i przytulił je do siebie. Przyciskał je do serca, pragnąc w swojem obłąkaniu, chociaż raz jeszcze pocałować tę głowę, której już nie było. Widać, że zmysły odstąpiły go już zupełnie. Pochodnia drżąca w jego ręku oświecała swym czerwonym blaskiem rysy jego zbladłe i zsiniałe, po których zimny pot staczał się wielkiemi kroplami. Zdawał się już nic nie czuć i postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny, która do składu prochu prowadziła.

Preston zatrzymał go.

— Czego chcesz odemnie? — rzekł do niego Ascott — nie wydrzesz mi tego trupa, nie dam ci go wydrzeć.

— Ascocie, rzekł do niego Preston — ja nie chcę się sprzeciwiać twojemu zamiarowi wysadzenia w powietrze Niagary.

— Chciałbym widzieć tego, coby się chciał temu sprzeciwić!

— Ascocie — mówił dalej Preston — nie sprzeciwiam się temu wcale, ale zdaje mi się, że byłoby rzeczą słuszną i sprawiedliwą przed wykonaniem tego dać znać o naszym zamiarze oficerom zamkniętym na spodzie okrętu, żeby mieli czas polecić dusze swoje Bogu.

Ascott został w tej chwili dotknięty największą męczarnią, jaką może wycierpieć istota ludzka; śmierć ubóstwianej istoty, litość i pobożność, te dwie cnoty, które w parze chodzą ze sobą, wcisnęły się za pośrednictwem boleści.

— Zawiadom ich — odpowiedział — ale ostrzegam cię, że przez tę chwilę czasu, która nam to zajmie, fregata już nas będzie mogła doścignąć.

— Rachuję właśnie na to — odpowiedział Preston.

— Jakto rachujesz na to? — zapytał Ascott, zadziwiony tą odpowiedzią.

— Ale naturalnie, jeżeli nas doścignie, to kiedy Niagara wysadzoną będzie w powietrze, i ta przeklęta fregata pójdzie razem z nami.

— Co za wyborny pomysł — zawołał Ascott — masz racyę, trzeba im dać przybliżyć się o ile możności... Ależ idź, idź, Prestonie, będę tu czekał na ciebie. Daję ci pięć minut, pięć minut czasu, czy słyszysz, za pięć minut przód fregaty uderzy o nasz okręt i zgruchocze go na miazgę i wtenczas czas będzie wyskoczyć w powietrze razem z nimi. Idź, idź, Prestonie. I Ascott pocałował jeszcze raz krwawy tułów, który trzymał w objęciu.

Preston zanim wstąpił na drabinę, odwrócił się jeszcze raz do deportowanych, które cisnęły się jedne do drugich, drżąc całe, jak owce pod nożem rzeźnika, rzekł do nich akcentem, który już raz był znalazł sobie drogę do ich serca.

— Siostry moje, staniecie przed Bogiem, zanim ten pierścionek, który teraz do morza rzucam, aż do dna jego dojdzie, chcecie, żeby on wam przebaczył grzeszne życie wasze?

— Tak! tak! tak! — zawołały wszystkie te nieszczęśliwe.

— A więc wybaczcie sobie wzajemnie jedne drugim, niech skrucha wasza będzie szczera, serdeczna i głośno wypowiedzcie żal wasz za grzechy. Zróbcie to, a ufajcie w miłosierdzie Boga, że wam grzechy odpuszczone będą.

Ponieważ prawie wszystkie te nieszczęśliwe, po największej części rodem z Irlandyi, były katoliczki, rzuciły się w objęcia jedne drugim (ileż wtenczas matek przyciskało córki swoje do serca, nie wiedząc o tem) i zaczęły wszystkie jednozgodnie drżącym i błagalnym głosem odmawiać akt wiary „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, stworzyciela nieba i ziemi..."

Fregata zakrywała już cieniem lasu żagli swoich cały korpus Niagary; Preston wraca na pomost, dzieło pobożności już było skończone, Ascott schodzi, dzieło zniszczenia miało się zacząć.

Przez ten mały przeciąg czasu, zanim Ascott zeszedł do składu prochu, fregata, która zaledwie już tylko na strzał pistoletowy znajdowała się od Niagary, obróciła się do niej bokiem i takim sposobem biorąc w poprzek cały nasz okręt, dała ognia z całej baterył dział swoich. Ten strzał straszliwy, na który nikt z naszej strony nie odpowiedział, okrył cały pomost stosami trupów, ze wszech stron leżały poodrywane członki, trupy szkaradnie pokaleczone, a krew lała się strumieniami.

W tej chwili Ascott ukazał się napowrót na pomoście, trzymając zawsze w objęciu trupa Prozerpiny; na ten widok deportowane, pewne, że skład prochu już zapalony, że słyszą już trzask rozdzierającego się okrętu, wydały razem jeden okrzyk konania. Ale jakiż krzyk! Karolina Prior rzuciła się na szyję Prestonowi, żeby razem z ukochanym dostać się w objęcia śmierci. Kilkanaście z tych nieszczęśliwych, obłąkanych bojaźnią, rzuciło się do morza, żeby uniknąć straszliwej śmierci wysadzenia prochem.

Ascott obłąkany, wściekły, zbliżył się do Prestona, patrząc na niego osłupiałym wzrokiem; Preston na to spojrzenie długim wybuchem śmiechu odpowiedział.

— Więc to ty! — zawołał Ascott, — więc to ty zatopiłeś skład prochu, tam już tylko woda wszędzie.

— Patrz — rzekł do niego Preston — Niagara zamiast wyskoczyć w powietrze, tonie w morzu; przy pomocy Cartera odebraliśmy kilka tarcic bocznych i woda już wchodzi do okrętu; prochy są zalane, a spód okrętu pełny wody i topimy się Ascocie, topimy.

— Poddajcie się rozbójnicy! — wołali majtkowie Kameleonu, tak się nazywała bowiem fregata, która nas przywitała tak pięknie. — Poddajcie się, albo zginiecie wszyscy.

Pogróżka ta była niepotrzebną; majtkowie Niagary żadnej już nie próbowali obrony, a okręt widocznie coraz głębiej tonął w morzu. Poddaliśmy się; na mężczyzn włożono kajdany i przeniesiono ich na Kameleon, potem przeniesiono i kobiety, ale nie obciążając ich już kajdanami. Co się zaś tyczy Prestona, Cartera, jego stronników i mnie, mieli jakoś więcej dla nas względności, zawsze jednak jako podejrzanych, trzymano nas w więzieniu, aż dopóki fregata nie przybyła do Hobart Town, gdzie miał być sąd wojenny do sądzenia nas zebrany. Oficerom oddano bezzwłocznie wolność.

Oto moi kochani, koniec trzeciej Dyany, zarazem opowiadania o Niagarze — wyrzekł, zmieniając głos majster Gandolf.

— Ale to nie jest jeszcze zupełny koniec? — zapytał junga, z którym tym razem wszyscy majtkowie zgadzali się w zdaniu.

— A prawda — odpowiedział majster Gandolf — chcecie zapewne wiedzieć, jak się tam w Hobart Town z nami skończyło?

— Naturalnie, majstrze Gandolf.

— Oddano nas wszystkich pod sąd i po dwóch miesiącach indagacyi taki zapadł wyrok: czterdziestu trzech majtków skazano na powieszenie, dwudziestu sześciu na pozostanie w kolonii, trzynastu zaś na pomniejsze kary. Ponieważ podług wyroku sądu kobiety działały z nieświadomością rzeczy, kara dla nich została się ta sama, na jaką były w Anglii skazane.

— A co się stało z Carterem? — zapytali się jednogłośnie wszyscy majtkowie.

— Carter został skazany na powieszenie.

— Na powieszenie? Cóż więc sędziowie zapomnieli, jaką on chciał oddać przysługę rządowi, doprowadzając Niagarę do stacyi morskiej w Madagaskarze? — zapytał się jeden majtek, który był echem wszystkich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

6)

I taki ją wstręt ogarniał... że wszystko, co się z nią w tej chwili stało... było od jej myśli dalekie... a prześladowała ją tylko ta niepohamowana chęć obmycia się z owej cuchnącej posoki... której pełne było jej ciało... i wszystko, czem miała ciało okryte...

Ale co począć z sobą? Skąd wziąć wody... żeby się myć... godzinami myć... i obmyć z tej obmierzłej juchy!

Jej towarzyszka, potłuczona spadaniem ze schodów na schody, siedziała teraz na jakiejś beczce wysokiej i starała się trzymać nogi jak najwyżej, bo ją strach ogarniał, że szczury zaczną ją gryźć.

Nie było okien, więc nie widziały nic. Ale powoli porozumiały się w swej rezygnacyi.

Jeneralowa miała na sobie tyle odzienia, że mogła połowę odstąpić Izie, a w połowie pozostać.

Wtedy Iza zrzuciła z siebie wszystko krwią nasiąkłe — i nabierając garściami zlodowaciałego śniegu — starała się obmywać ze śmierdzącej mazi.

Naraz osłabienie w tej lodowatej kąpieli tak ją zmogło, że się z nóg zwaliła i w śnieg kolanami zaryła.

Zrozpaczona towarzyszka po omacku próbowała ją cucić... i resztek sił używszy w napięciu woli — wyciągnęła ją nagą ze śniegu... i wlokła do góry na schody.

Wtem zgrzyt żelaza rozszedł się echem po sklepieniach piwnicznych... i smuga światła wpadła po schodach w głąb lochu.

Paru żołdaków stało w progu w drzwiach otwartych na podwórze i niecierpliwie nawoływało, by więzione szły natychmiast do śledztwa.

Zanim jeneralowa zdążyła przygotowaną połową swych rzeczy osłonić obnażoną, już jeden ze zbirów zbiegł po schodach i kolbą zaczął naglić ją do wyjścia.

I dopiero kiedy przy tem sam się krwią uwalał, puścił swą ofiarę... A tylko wściekłość swą chcąc wyładować, w twarz jej plunął ze słowem:

— Burżujka!

Przyprowadzono obie kobiety do sypialni, gdzie właśnie odbywała się rewizya w lochu pod podłogą.

Na wszelkie pytania żadna z nich nie dawała wyjaśnień... nie usprawiedliwiała się... nie tłómaczyła... mimo, że słyszały, jak w nie wmawiano winę wybuchu... zamordowanie „Czarnego dyabła"... ukrywanie w lochu całego arsenału jakiejś wielkiej organizacyi rewolucyjnej...

Wśród gromady ludzi w mundurach wojskowych uderzył wzrok Izy ubiór cywilny. Poznała w nim człowieka, który do tego domu pierwszy przyniósł wiadomość o zgładzeniu Zygmunta.

Teraz komendant, odzywając się do niego, tytułował go redaktorem. Z tego wnosić należało, że człowiek ten u nowej władzy zajął jakieś ważne stanowisko w prasie oficyalnej.

Kiedy ci ludzie nad otwartym lochem przy rozbijanych kufrach rozprawiali coś na temat kontrrewolucyjnej organizacyi, której siedzibą miał być rzekomo ten dom, z ust redaktora padło głośne słowo:

— Biały sztandar...

Na to Iza ponownie wzrok podniosła na postać tego jedynego cywila między wojskowymi. Błyskawicą przeleciała jej po głowie myśl, że stoi przed nią niewątpliwy sprawca tragicznej śmierci Edwarda.

Nie wiedziała, co się z nią działo... Uczuła tylko gwałtowną ochotę... rzucić się na tę figurę z czarną czupryną kędzierzawą... I już podniosła w jego stronę obie ręce... krwią umazane... jak jej całe ciało...

Ale naraz między nią a redaktorem stanął Edward.

Opadły jej ręce... Nogi się pod nią ugięły... i bezwiednie przysiadła na kupie gruzow.

Nic nie wiedziała, kiedy z powrotem znalazła się w lodowni wraz ze swą biedną towarzyszką... I nie wiedziała, ra czem upłynęły jej godziny całego dnia.

Aż oto błękitna smuga poświaty miesięcznej wpłynęła do jej lochu około północy... i ze swego zimnego grobu wychodziła Iza po schodach... przez wielkie drzwi żelazne... na podwórze skąpane w ciepłe nocy letniej.

Szła z jeneralową, jak była w jej bieliźnie... ale cała jeszcze cuchnącą krwią cudzą umazana... dygocąca z zimna... cała w dreszczach febrycznych... a z gorączką na ustach...

Poganiane przez kilku zbirów, słaniały się obie, wlokąc się powoli poprzez ulice puste, księżycem wybielone.

Szły tak już długo, gdy naraz naprzeciwko siebie ujrzały pochód wojskowy: to szła ku nim gromadka ludzka... otoczona błyszczącymi bagnetami i szablami... Zgrzytały łańcuchy skutych więźniów.

Z rozmowy żołdaków eskortujących kobiety dowiedziały się, że kondukt powoli zbliżający się ku nim z:nierza na miejsce rozstrzelania.

Obie w tej chwili uczuły, jak są bliskie tamtym w łańcuchach.

One obie, prowadzone w tej chwili do więzienia — może za kilka dni będą podobnie odbywały drogę pod bagnetami na miejsce swojej kaźni.

Wśród tego zbliżyły się do wojskowego korowodu i zrównały się z nim.

Blask miesięczny oświetlił jasno wszystkie twarze skazańców.

Naraz jeneralowa krzyknęła przeraźliwie... Zostawiając Izę samą... zerwała się z miejsca... i rzuciła się w stronę ostrych bagnetów.

— Pawle! mój Pawle! — jęczała, roztrącając straże... aż zawisła na szyi swego męża.

V.

Miasto leżało na jednostajnej równinie. Ale tuż nad niem sterczała góra wysoka. Dostęp na nią łatwy był od strony miasta, oraz od lasów sąsiednich, przepastnych.

Od tyłu zato, gdzie zbiegały się dwie rzeki, było urwisko skaliste, z którego krawędzi tylko spaść można było na dół z wysokości kilkunastu pięter... wprost w fale spienione... wzburzone nad bezdennymi wirami.

To też za dobrą strażnicę służyło to wzgórze dla miasta. A nie małą rolę wciąż odgrywać musiało w partyzantce wojny domowej białych z czerwonymi.

I teraz na szczycie stała cała baterya artyleryjska w wiecznem pogotowiu, mimo, iż sprawdzono, iż nigdzie w pobliżu nie było ani śladu nieprzyjaciela.

Co dopiero wróciły rekonesanse z głębi lasów — zadowolone, że przeszukały wszystkie kąty i nie odkryły nic niebezpiecznego.

Tymczasem nocą — właśnie z tych lasów — wyrósł jak z pod ziemi podjazd nieprzyjacielski i cichaczem dostał się na samą górę, gdzie widocznie obsługa przy działach nie musiała zbyt czuwać, skoro jeźdźcy wyrżnęli ją całą — od pikiety aż do dowódcy — i sami przy armatach stanęli.

Cóż za zdumienie ogarnęło wojskowych i cywilnych, gdy naraz o świcie odezwał się silny ogień działowy ze szczytu góry, na miasto właśnie kierowany.

Pod gradem pocisków powstał popłoch, bo nic nie rozumiano, co się dzieje — i nie wiedziano, co z sobą począć.

Cała załoga, postawiona na nogi, mimo wielkiej dezercyi wobec panicznego strachu, rzuciła się do ataku — i bez trudu do południa zdobyła górę.

Dla nieprzyjaciela nie było wyjścia nigdzie. To też zginęli wszyscy... do ostatniego... ranni... postrzeleni... wraz z końmi... waląc się ze skalistej krawędzi w przepaść... A kule szły za nimi i dalej... w wodę.

Wieczorem miejscowa gazeta urzędowa opowiadała o ogromnych wojskach w pień wybitych — i o wielkiem zwycięstwie nad niemi odniesionem. Wprawdzie wśród cywilnej ludności przebąkiwano półgłębkiem, że nie było tam więcej nad kilkunastu jeźdźców, ale zato wojskowi tryumfowali głośno; żołnierz bowiem zdążył sobie podpić — rozgromiwszy w godzinach największego zamięszania duże magazyny ze spirytusem.

Gdy wieczór zaszedł, cała załoga spała, bez względu na wydane surowe rozkazy czuwania — i na rozstawienie pikiet na kresach ogrodu.

Około północy, że strony przeciwnej niż w noc ubiegłą, zjawiło się kilka podjazdów nieprzyjacielskich i wprost ze stepów dostało się na przedmieście, którego biali byli zawsze najpewniejsi.

Toteż grupkom jeźdźców udało się w niepostrzeżeniu przejechać nawskróś całą dzielnicę. Zatrzymali się dopiero na ogromnym placu, który to przedmieście dzielił od środka miasta. Ruchy ich były błyskawiczne, a zagadkowo ciche.

Stały tu dwa kompleksy gmachów: jeden — to dawna szkoła kadecka, drugi — dawne koszary kawaleryjskie.

W obie strony rzucili się jeźdźcy i w jednej chwili znaleźli się w obrębie murów, nigdzie nie dając ani jednego wystrzału.

Zato szable ich były bez przerwy w robocie.

Cięli niemi na wszystkie strony, wyrzynając całe kompanie ludzkie, śpiące pokotem.

Krwią zabryzgane wszystkie ściany i podłogi... wszystkie bruki i mury dziedzińców... a jedna ręka jeszcze nie zdołała się podnieść na obronę... jedna kula nie gwizdnęła z za węgła.

Cisza...

Tylko się opar krwawy podniósł i majaczył tu i tam... i w ciszy krzyczał okrutną mową krwi...

Kiedy im się tu powiodło, popędzili ku miastu. Przelatywali ulice jak wicher. Spotykali patrole, ale nikt ich nie zatrzymywał: wszak mieli dla niepoznaki ogromne kokardy czerwone.

Już nową rzeź sprawili w sztabach... Już więzienie otwarli jedno, drugie... A jeszcze w mieście nie było alarmu.

Właśnie ktoś zbudził Izę, która z wielkiego znużenia zapadła w sen ciężki. Nie mogła teraz pojąć, o co idzie... Rzucała naprzemian imiona to Edwarda, to Zygmunta, z którymi spędzała przed kilkoma godzinami długie chwile na tajemnej rozmowie.

Ale kiedy wszystkie jej towarzyszki mimo nocnej pory jęły rozmawiać głośno między sobą i jedna za drugą wybiegać z otwartej celi, Iza ocknęła się do reszty — i zrozumiała.

Szarpnęła za ramię jeneralową, ale ta bezsilnie opadła na barłog więzienny.

Iza wybiegła na korytarz i snać dostawszy tam języka, wróciła pośpiesznie do celi.

— Maryo! Maryo... uchodźmy — nawoływała. — Jesteśmy wolne... Biali otwarli więzienia... Podobno odsiecz zdobyła już miasto...

Gwałtem uprowadziła jeneralową; za chwilę znalazły się na dole.

Świtało już i w rozbrzaskach dniach spostrzegły się na podwórzu, jak obie wyglądają. Zawahały się, czy mogą tak wyjść na miasto.

Mimo wszelkich próśb, jeszcze Izie nie pozwolono dotychczas wyjść z celi i obmyć się z krwi, którą była cała umazana.

Teraz zwróciły się do mieszkania kogoś ze służby więziennej, gdzie okazano im niemało życzliwości. I tam bowiem radość była na myśl o pozbyciu się tyranów, którzy, wmawiając w lud, że są obrońcami jego wolności, ujęli gwałtem w ręce władzę i panowali przemocą — mimo, że ich nikt nie chciał.

Jakaś kobieta zaprowadziła Izę i Maryę do izby, w której zastały całe stosy ubrań kobiecych. Była bielizna... i suknie i okrycia były, a wszystko pochodziło od osób ze sfer zamożnych... inteligentnych.

— Właściciele już ziemię gryzą — szepnęła nad niemi głosem, w którym było prawdziwe wzruszenie... — Za dni kilka wybyście obie poszły były także ich śladem. Tylko, że z was nie było co zdejmować... Odziewajcie się w co chcecie. To niczyje... To bardziej wasze, niż nasze. Wybierajcie dowoli...

I wybrały coś niecoś z rzeczy — najskromniejszych, jakie mogły znaleźć.

Iza poszła się myć. Myła się już pół godziny i jeszcze o ciepłą wodę prosiła... bo tej krwi żołdackiej zmyć ze swego ciała nie mogła.

A wtem zadudniły mury więzienne, zaryczały działa nad miastem. Kazano im się śpieszyć, więc co żywo przebrały się, mimo, że przy tej robocie słabły z braku sił.

— Wszak myśmy od paru dni nic nie jadły.

Zlitowano się nad niemi i nakarmiono. A kiedy miały odchodzić i wspomniały, że właściwie nie wiedzą, dokąd pójść mają, dano im jeszcze woreczek z jedzeniem na drogę.

Z progu zawróciła Marya i ze łzami w oczach zaczęła się dopytywać, gdzie tracą mężczyzn, skazanych na rozstrzelanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Aby utrzymać ciągłość pomiędzy poprzednim, a bieżącym tygodniem, zaczynamy niniejszą kronikę od konferencyi genueńskiej, stwierdzając po raz drugi, że nie postąpiła ona ani kroku naprzód, nie rozleciała się jeszcze co prawda, ale do odbudowy Europy przyczyniła się tyle, iż gdyby ona miała w tym stosunku postępować, musiałoby się ją rozłożyć na kilkaset lat. Na pierwszy plan wybiły się oczywiście sowiety i Niemcy, potem Lloyd George, wreszcie Francya i Belgia, reszta wiecnujących pozostaje w tyle, czekając cierpliwie jaki będzie wynik. Lloyd George gada dużo i głośno, jeszcze głośniej zaprzecza potem temu, co rzekomo przedtem powiedział, Rosya i Niemcy czulą się coraz bardziej do siebie, aby świat nabrał przekonania jak serdecznym jest ich związek, Rosya przecież, jak się zdaje, okaże się w końcu ustępliwą, skoro tylko uda się jej wytargować dla siebie jak najwięcej. Minął już przeszło miesiąc od chwili rozpoczęcia obrad genueńskich, a dotychczasowy ich rezultat równa się zeru, kosztuje zaś bardzo wiele, gdyż wiecownicy nie żałują sobie bynajmniej, wiedząc o tem, że pieniądze na pokrycie ich wydatków nie pójdą z ich kieszeni. Gdyby było inaczej, t. j., gdyby sami ponosić musieli koszta swego utrzymania, byliby się już dawno załatwili ze wszystkiem, ale życie za cudze pieniądze i do tego w tak uroczej okolicy, ma nawet dla największych Katonów swój powab. Wszak i Mojżesz, prowadząc lud izraelski z Egiptu do Ziemi Obiecanej, potrzebował na to aż czterdzieści lat, ponieważ był za dyetami dziennemi, wypłacanemi mu przez Towarzystwo Emigracyjne, które się tej przeprowadzki podjęło.

Z obrad konferencyi genueńskiej najbardziej oczywiście zadowoleni są Włosi, potrzebujący gotówki, a zgarniający ją obecnie obiema rękami, choćby zatem nie powzięto żadnych pozytywnych postanowień, odbudowa Włoch na zjeździe genueńskiem w każdym razie skorzysta.

W Genui ma być rozpatrywaną sprawa granic wschodnich Polski, z tonu zaś, w jakim się o tej sprawie pisma zagraniczne wyrażają, możemy wnosić, że czeka nas znowu ciężki orzech do zgryzienia, Lloyd George bowiem dopatrzy się słuszności tam, gdzie jej nikt nie widzi. Da to znowu sposobność do nowych nieporozumień i zawikłań, które sprawę ogólnego światowego pokoju odsunął w dalszym ciągu na czas nieograniczony, a dotychczasowe powojenne prowizoryum tak się światu całemu dające we znaki, jak się zdaje, nigdy się nie skończy, bo to woda na młyn różnych wielkich i małych geszefciarzy. „Pokój Boży", proponowany przez Lloyda Georgea na lat dziesięć na lądzie stałym, jak się zdaje, nie wyjdzie z fazy projektów, nie znajdzie się bowiem nikt, kto chciałby zrobić początek, w obawie, aby sam nie stał się ofiarą swych sąsiadów, a może nawet i sprzymierzeńców. Z tego co dotąd zaszło i czego w dalszym ciągu spodziewać się można, należałoby wnosić, że Europa podzieli się na dwa wrogie sobie obozy, pierwszy składający się z Anglii, Niemiec i Rosyi, drugi z Francyi, Polski i małej koalicyi. Będziemy mieć zatem Europę w kratkę, członkowie bowiem jednego i drugiego obozu będą się wzajemnie i rozdzielać, a Europa stanie się podobną do dwóch wulkanów, gotowych każdej chwili do wybuchu. Który z nich wybuchnie pierwiej i z lepszym skutkiem, to pokaże dopiero przyszłość, dziś staliśmy się wszyscy futurystami i żyjemy nie tem, co było lub jest, lecz co będzie.

Ogólną opinię zajmuje obecnie głównie polityka zagraniczna, koncentrująca się w danej chwili w Genui, sprawami wewnętrznemi zajmujemy się stosunkowo bardzo mało. W sejmie warszawskim toczy się obecnie dyskusya nad ordynacyą wyborczą do Sejmu i Senatu, a sprawa ta ma być łabędzim śpiewem obecnej kadencyi, po jej załatwieniu mają sobie posłowie na pożegnanie dać buzi i rozjechać między swych wyborców, aby pracować dalej nad zyskaniem sobie ich zaufania i ewentualnie powrócić tutaj znowu, bo w każdym razie posłowanie to rzecz bardzo wygodna, a przedewszystkiem korzystna. Obecne obrady sejmowe mają charakter dość pogrzebowy, a przeciąganie ich w najrozmaitszy sposób przypomina ogromnie debaty genueńskie. I tutaj i tam radziby je uczestnicy przeciągnąć w nieskończoność, co w Genui byłoby w każdym razie łatwiejszem, gdyż tamtejszy porządek dzienny jest tak obfity, iż wystarczyć może na lat kilkanaście, nie mówiąc już o fachowych referatach rzeczoznawców, dla których, celem dokładniejszego zbadania każdej danej sprawy mało i lat dwieście. Warszawski Sejm w tem miłem położeniu nie jest i po załatwieniu się z ordynacyą wyborczą musi sobie powiedzieć, że dni jego już policzone.

Ze względu na zbliżające się wybory odbywa się też mobilizacya w łonie poszczególnych stronnictw, które przygotowują się do kampanii wyborczej na swój sposób, t. j., iż każde z nich idzie na własną rękę, a społeczeństwo, zamiast w tak ważnej i decydującej chwili skupiać się, dzieli się samochcąc, ułatwiając w ten sposób zwycięstwo różnym niepożądanym wpływom, które, choć sobie na oko wrogie, umieją znaleźć zawsze wspólną wytyczną, wiodącą je do upragnionego celu, t. j. do zagarnięcia władzy w swe ręce.

Podjazdowa walka między stronnictwami już się rozpoczęła, rozgorzeje ona w chwili stawiania swych kandydatów, potem rozpoczną się kompromisy i tworzenie rozmaitych bloków, najczęściej zupełnie niedorzecznych, które ogółowi więcej szkody przynoszą niż korzyści.

Jesteśmy ogromnie ciekawi, czy ewentualni kandydaci na posłów z naszego miasta będą tak skwapliwi w wygłaszaniu swego politycznego *credo*, jak byli nimi w składaniu swych sprawozdań poselskich ich poprzednicy, którym się bynajmniej nie spieszyło, widocznie zatem przeczuwali dobrze, że zaufanie wyborców w całej pełni posiadają, nie potrzebują go też naprawiać lub sztukować.

Odbywały się wprawdzie od czasu do czasu, jakieś niby to sprawozdania poselskie z wstępem za zaproszeniami, niedostępne zatem dla ogółu wyborców, było to jednak tylko coś, a nie właściwie złożenie sprawozdania z swej działalności i zasięgnięcie opinii, jak się wyborcy zapatrują na działalność swego męża zaufania. Złośliwi powiadają, iż posłom naszym trudno się chwalić swą działalnością, która rezultatów żadnych nie miała, mówienie zaś o prywatnych interesach z pewnością nie zadowoliłoby żadnego z wyborców. Tak mówią złośliwi, ponieważ my jednak do nich nie należymy, bylibyśmy powitali z radością każde publiczne złożenie sprawozdania z czynności poselskich, a wydawałoby się nam nawet wskazanem, aby poseł, zanim zgłosi przynależność swą partyjną (o ile oczywiście zmienia ją często...) zapytał swych wyborców, czy przypadkiem nie mają nic przeciw temu jeśli zgłosi swój akces do tego lub owego stronnictwa. Bo, proszę nam powiedzieć, czy nie wygląda to dziwnie jeśli naprzykład poseł z miasta Krakowa pisze się na zasady ludowców, którzy stale występują przeciw interesom miast i ich mieszkańców. Czy taki poseł, choćby był naprawdę ludowcem, może budzić zaufanie u swych wyborców, którzy muszą w nim widzieć swego politycznego przeciwnika, a nie poplecznika swych interesów jak należałoby sobie życzyć. Inna rzecz, że może on tylko dla pozoru skłaniać się ku owemu stronnictwu, gdyż tak każe mu własny, dobrze zrozumiany interes, a działać na korzyść tych, którzy go zaufaniem obdarzyli, w to jednak, choćby się nawet i przysięgał nikt nie uwierzy, co bowiem ludowcom przyszłoby z takiej osoby, choćby nawet najprzystojniejszej, jeśliby u nich tkwiła jedynie cielskiem, a duszą łączyła się z kim innym. Powiedzieliby mu bardzo prędko: „Bierz nogi za pas, ciarachu, i zmykaj do swoich!..."

Jeśli się zaś tak nie stało, to dowód, że pan poseł jest pożądanym członkiem dla stronnictwa *ergo* nie może nim być dla ogółu wyborców, odczuwających nieraz bardzo boleśnie na swych skórach politykę stronnictwa ludowego, nie sięgającego wzrokiem poza swą wieś. Taki pan poseł mógł wejść do Sejmu tylko z listy kompromisowej, czy blokowej i dlatego właśnie trzeba się mieć przed wszelkimi blokami i kompromisami na baczności, bo się nie wie, co w trawie piszczy.

A trzeba przyznać miejskiemu społeczeństwu i to szczególniej krakowskiemu, że jakoś zbyt mało wagi przywiązuje do sprawy najbliższych wyborów, ruch przedwyborczy bowiem zwłaszcza tam, gdzie byłby on najbardziej pożądanym, t. j. w sferach inteligencyi, jest poprostu minimalny. Ruszają się wprawdzie powoli krakowscy demokraci, budząc się ze snu zimowego, podnosi głowę, ale dość ślamazarnie narodowa demokracya, wszystko to jednak odbywa się jakoś tak dorywczo, bez z góry obmyślanego planu i odpowiedniej organizacyi, że już teraz można wróżyć nie zwycięstwo, lecz klęskę. Przez jakiś czas będą się stronnictwa wzajemnie kąsać i podstawiać sobie nogę, gdy się wreszcie zdecydują na porozumienie, będzie już poniewczasie, a dla przeciwnika szanse staną się pomyślne. Poza tem przy takiem porozumieniu na gwałt, bo zwykle dopiero w przededniu katastrofy, wysuwa się osobistości jakie się pod rękę nasuną, a nie te, które powinny się były ubiegać o zdobycie sobie zaufania.

I to jest właśnie stały błąd nasz, powtarzający się przy każdych wyborach. Brak solidarności i zrozumienia najżywotniejszych własnych interesów ujawnia się w tym okresie bardziej, niż kiedyindziej, a poprzednie doświadczenie jakoś nikogo nie wzrusza, każdy myśli tylko o sobie i zpycha wszystko na ostatni czas.

Skoro mowa o wyborach warto wspomnieć, że gruntownej wentylacyi doprasza się gwałtownie nasza Rada miejska, której atmosfera stała się tak duszną, iż nie można się dziwić, że nasi ojcowie miasta tylko bardzo niechętnie jawią się na posiedzeniach, przybywszy zaś na nie, zasypiają snem sprawiedliwych. Lat jedenaście piastują już swe mandaty rajcowie miejscy, mieli zatem czas znudzić się należycie, powinno się ich zatem zastąpić świeżemi siłami. W obecnym składzie uzupełnianym od czasu do czasu przez powoływanie nowych ojców w miejsce tych, którzy przeszli w stan wiecznego lub doczesnego spoczynku, albo też przez kooptacyę, znajdują się i tacy, którzy do Rady miejskiej weszli w ścisłem tego słowa znaczeniu „z jednogłośnego wyboru" t. j. otrzymali w swoim czasie jeden jedyny, najczęściej swój własny głos i ani im to nawet przez myśl nie przeszło, aby mieli kiedyś zająć fotele w miejskim areopagu. Losy pokierowały inaczej. Kadencya obecnej Rady trwa zbyt długo, radcowie schodzą powoli z widowni, miejsce ich zajmują ci, którzy otrzymali stosunkowo największą ilość głosów, przyjść też kolej musiała i na takich, co rozporządzali tylko jednym, niedługo braknie nawet kandydatów, aby można nimi było zatykać dziury, powstałe w składzie Rady.

Poczciwi nasi ojcowie z fotelami swymi, do których się już przyzwyczaili i które należycie wygnietli pożegnają się z żalem, podobnie jak posłowie sejmowi ze swymi mandatami, bo i stanowisko radcy miejskiego, jak się w Krakowie tytułuje radnych, to kąsek wcale smaczny i nie do odrzucenia. Ubijano się też zawsze o zyskanie sobie zaufania wyborców, a pomocną w tym kierunku bywała stale nieoceniona kiełbasa wyborcza, z której słynął Kraków na całą byłą Galicyę, a różni kandydaci zjeżdżali tutaj ze wszystkich stron, aby odbyć specyalne studya, jak się robić powinno wybory. Urna wyborcza otoczona była nimbem tajemniczości, do bezpośredniego zetknięcia z nią dopuszczano tylko najbardziej zaufanych i nieraz było się świadkiem rozmaitych cudów, które stale przypisywano działaniu duchów, operujących w lokalu wyborczym w czasie przerwy obiadowej, a umiejących, jako istoty bezcielesne dostać się nietylko do zamkniętego lokalu, lecz i do opieczętowanej urny i zrobić w niej porządek.

Wybory w tych czasach nie były właściwie wyborami, ale nominacyą, desygnowani przez poszczególne stronnictwa kandydaci musieli za wszelką cenę otrzymać odpowiednią liczbę głosów. Obeszło się zatem bez mów kandydackich, a jeśli je wygłaszano, to tylko dla przyzwoitości, każdy z kandydatów zaś roztaczał wobec słuchaczy tak wspaniały program swych prac i zamierzeń, że trzeba było chyba być z kamienia, lub drzewa, by mu odmówić poparcia, zwłaszcza, że szła mu w pomoc także i osławiona kiełbasa wyborcza. Dostawszy się w skład Rady nieraz w sposób prawdziwie czarodziejski, zmieniał się też pan radca momentalnie, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarnoksiężnika, zapominał o swych zasadach, jakie wygłaszał na zgromadzeniach przedwyborczych i zaraz od pierwszego dnia myślał nie o interesach ogółu, lecz swoich własnych, ponieważ zaś te załatwia się nie na sali radnej, lecz najczęściej gdzieś na uboczu, posiedzenia Rady świeciły zazwyczaj pustkami, jawili się na nich tylko ci, których żony wypędziły z domu, aby im nie przeszkadzali niepotrzebnie, albo też jeśli na któregoś spadło nieszczęście, iż musiał na plenum referować jakąś sprawę. Więcej ożywienia bywało na posiedzeniach, na których załatwiano sprawy, dotyczące samych radców lub ich protegowanych, wówczas nie wiele brakowało, aby Rada się zebrała w komplecie, a dyskusya stawała się nieraz bardzo namiętna, choć i tutaj zatwierdzało się tylko to, co poprzednio postanowiła któraś ze sekcyi lub komisyi. Gdyby ktoś, nieznający krakowskich stosunków przysłuchiwał się tokowi posiedzenia, odniósłby wrażenie, że między ojcami miasta panuje jedność i zgoda, a każdy tylko ogólny interes ma na celu.

tycznie, towarzysko bez zarzutu, major wojsk włoskich Conte Giulio Camussi".

Ilustracye nasze przedstawiają grupę członków i pracowników Komitetu Plebiscytowego na miasto i powiat Głubczyce (Leobschütz), kierownika powiatu, oraz charakterystyczny typ młodej Górno Ślązaczki z tych okolic.

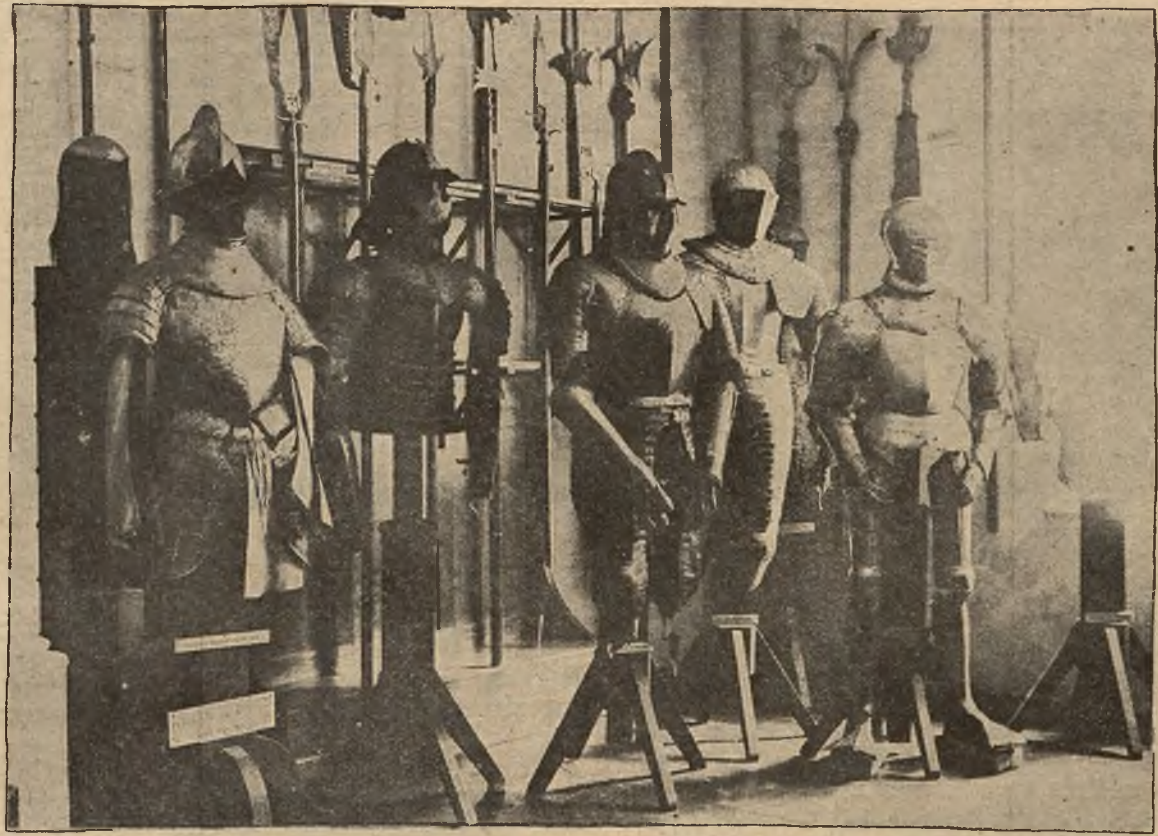
U wrót Sahary.

Na zakończenie swej wycieczki do Afryki Północnej, o czem już poprzednio wspominaliśmy, zwiedził prezydent Millerand także i Algier.

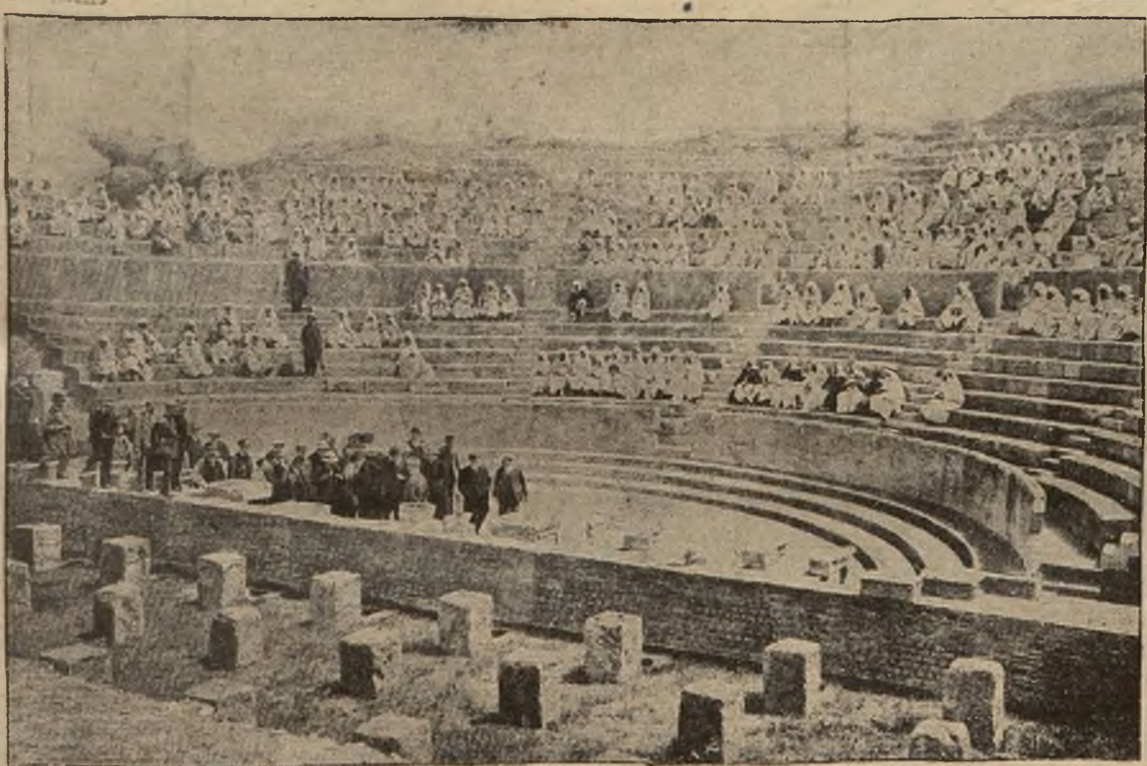
Jest to niezawodnie jedna z najpiękniejszych i najciekawszych okolic Afryki Północnej. W Biskrze, gdzie niedawno bawił prezydent, znajdują się starożytne zabytki architektoniczne, sięgające czasów rzymskich. Forum i teatr, budynki publiczne i domy prywatne są przedmiotem badań, dających dokładne wyobrażenie o życiu kolonii rzymskich w pierwszych wiekach naszej ery. Wykopaliskami kierują uczeni specyaliści francuscy. Dokonali oni też rekonstrukcyi dwóch olbrzymich kolumn i łuku Trajana, widocznego z daleka nad miastem. Starożytna Biskra powstaje ze swego grobowca, w którym zagrzebana była pod trzymetrową powłoką ziemi. Podobnie jak w Pompei, znajduje się tam muzeum wykopalisk, zwiedzone obecnie przez prezydenta Millerande i jego towarzyszy.

Jeden z dziennikarzy, towarzyszących prezydentowi, opisuje w barwny sposób drogę do Biskry, leżącej już u wrót Sahary.

„Z Batny do El-Kantara okolica była już pusta i bezpłodna; na horyzoncie widniały wyszczerbione wzgórza, poprzecinane wąwozami ouedów (strumieni), wyschłych w swem łożysku piaszczystem; skoro jednak przebyliśmy krótki wąwóz w El-Kantara, otwierający wśród dwóch czerwonych ścian skalnych wysokich na 80 metrów, wejście do potężnego korytarza, zwanego przez krajowców „paszczą Sahary", doznaliśmy wrażenia, że wchodzimy do innego świata. Oto przed nami prawdziwa brama do pustyni, brama, którą zda się wyłamała w tym murze cyklopów maczuga olbrzyma lub rozkaz jednego z bogów. A jest to przecież tylko przedpokój Sahary. Po przebyciu tych groźnych progów, które robią wrażenie wprost przerażające, wieś El-Kantara, zbudowana z chatek z lepionej gliny, jest już typową wsią Sahary. Typową jest również oaza, złożona z 90.000 palm i ciągnąca się kilka kilometrów. Góry, barwy krwawej rdzy, delikatne odcienie liliowe, żółtawe i blado różowe, zmieniające się i grupujące naprzemian aż po bezbrzeżne horyzonty, wszystko to, nie mówiąc już o licznych karawanach, ciągnących drogami z wielkiej równiny El Utaya, przypomina już olbrzymią przestrzeń upalnego pustkowia, ciągnącego się na znacznym obszarze afrykańskiego lądu. Jeszcze nie widzieliśmy właściwej pustyni. Dopiero znalazłszy się na grzbiecie gór Sfa, dominujących nad równiną Biskry, ujrzeliśmy wreszcie błękitną linię, ukazującą się poza najdalszemi pagórkami. „Morze, morze!" — okrzyk ten wyrwał się nam z ust, jak niegdyś ten sam widok wywołał takiż okrzyk z ust żołnierzy, którzy pierwsi wy-



Otwarcie „Muzeum Wojska" w Warszawie: Wnętrze jednej z sal zbrojowni.



U wrót Sahary: Prezydent Millerand z swym orszakiem podczas zwiedzania ruin starorzymskiego amfiteatru w Timgad.



U wrót Sahary: Namiot, w którym jeden z baszów marokkańskich podejmował prezydenta Milleranda i jego orszak.



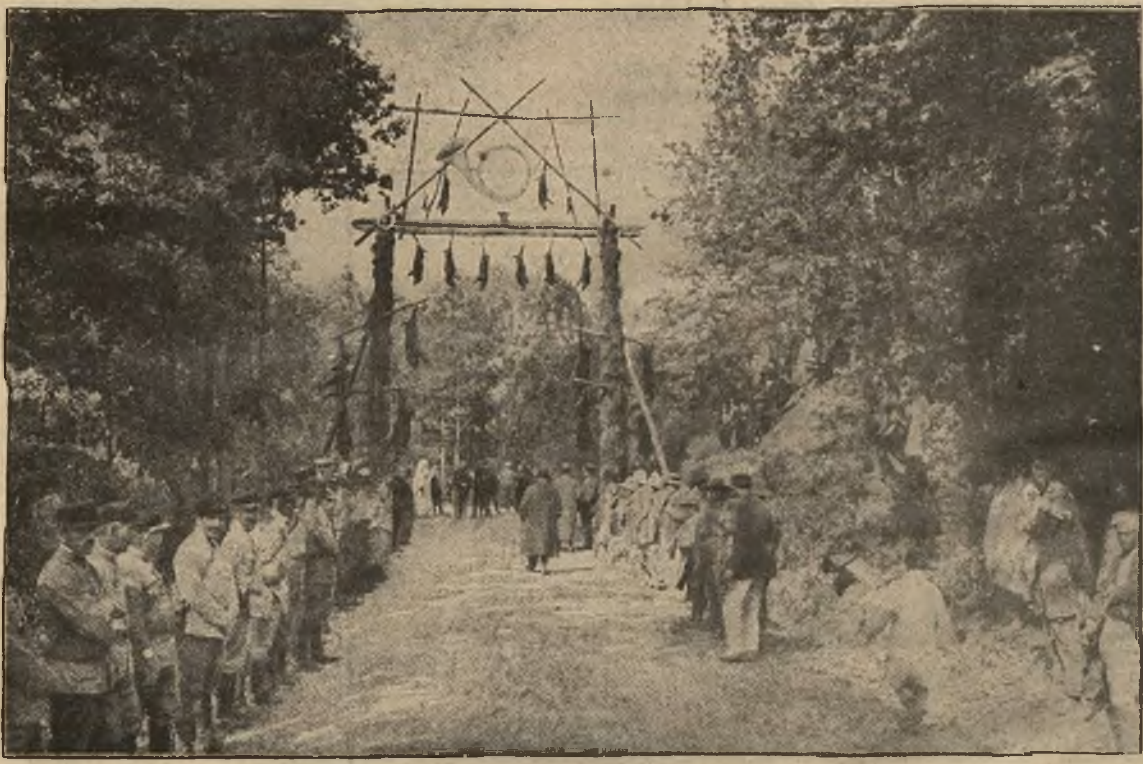
Stracona placówka: Typ Górnoślązaczki z powiatu głubczyckiego.

prawili się na podbój południa. Lecz to olbrzymie morze, — jest to olbrzymia pustynia, a raczej jej pas pośredni, gdyż właściwe miasto Sahary, Tuggurt, leży znacznie dalej na południu".



U wrót Sahary: W czasie pobytu w Afryce Półn. dekoruje prez. Millerand rezydenta francuskiego marsz. Lyautey.

Orszak prezydenta zatrzymał się w Biskrze, nie docierając dalej. Wśród uroczystości, wydanych na cześć prezydenta republiki francuskiej, oryginalnością odznaczało się przyjęcie u jednego z miejscowych dygnitarzy, wodza plemienia Ziban di Buazis ben Gana. Uczta zastawiona była pod olbrzymim namiotem. Przy stołach, biało nakrytych i po europejsku zastawionych, zasiadło 350 ucztujących; menu jednak obfite i zbytkowne składało się tylko z arabskich potraw. Służba ubrana była po turecku, we wspaniałych szatach, haftowanych złotem na jedwabiach niebieskich, czerwonych, żółtych i liliowych. Przepychem odznaczały się purpurowe i szkarłatne płaszcze agów i kaidów arabskich, otaczających swego wodza. Z południowej Sahary przybyli wodzowie plemienia Tuaregów, odznaczający się wysoką i szlachetną postawą. Wszyscy powitali przybywającego prezydenta Milleranda, któremu przygotowano honorowe miejsce na czerwonym fotelu.



U wrót Sahary: Brama tryumfalna, wzniesiona na powitanie prezydenta Milleranda przez straż leśną ozdobiona trofeami myśliwskiemi, na drodze pomiędzy Michelet a Bougie.

Nad grobem zasłużonego obywatela.

Z grona obywatelstwa nowosądeckiego ubyła piękna postać, zapisana bardzo pochlebnie w dziejach tego miasta i pamięci jego mieszkańców. W dniu 9 maja b. r. zmarł tamże w ośmdziesiątym trzecim roku życia ś. p. Ludwik Malicki, honorowy obywatel miasta Nowego Sącza, były profesor gimnazyalny, założyciel Kaplicy Szkolnej w Nowym Sączu, Bursy im. Tadeusza Kościuszki, oraz szkoły w Podegrodziu, w której pełnił obowiązki kierownika.

Ś. p. Ludwik Malicki całe swe życie poświęcił pracy dla ogółu, a wybrał z niej gałąź najwdzięczniejszą może, lecz i nadzwyczaj trudną, to jest troskę o wychowanie młodego pokolenia na pojmujących szczytnie i pełniących gorliwie swe obowiązki obywateli kraju. W tym kierunku zdziałał wiele, cicha jego i żmudna praca, nie szukająca rozgłosu, spotkała się jednak z ogólnem uznaniem i nazwisko dobrodzieja młodzieży przekazała wdzięcznej pamięci potomnych, jako wzór godny naśladowania. Otoczony ogólnym szacunkiem i miłością, z dumą mógł ś. p. Ludwik Malicki spoglądać na owoce swej działalności i powiedzieć sobie śmiało, że życia swego nie zmarnował, spiesząc całe lat dziesiątki z radą i pomocą tym, którzy jej najbardziej potrzebowali. Nagrodą, za tę prawdziwie obywatelską pracę pedagogiczną i filantropijną było nie tylko wewnętrzne zadowolenie na widok setek tych jednostek, które jemu zawdzięczały zdobycie uczciwego kawałka chleba, ale też i ogólne uznanie współobywateli, którzy obdarzyli go najwyższym zaszczytem, jakim rozporządzali, mianując go honorowym obywatelem miasta Nowego Sącza.

Pogrzeb ś. p. Ludwika Malickiego był pięknym wyrazem sympatyi, jaką Zmarły potrafił sobie zjednać w najszerszych kołach miejscowego społeczeństwa i ogólnego żalu wywołanego jego śmiercią. W obchodzie żałobnym, który się odbył w dniu 12 maja b. r. z Kaplicy Szkolnej w Nowym Sączu wzięły udział wszystkie miejscowe szkoły in gremio, tłumy publiczności ze wszystkich sfer oraz liczny zastęp duchowieństwa z ks. Infułatem Góralikiem na czele. Trumnę ze zwłokami zasłużonego filantropa zaniosła na swych barkach młodzież gimnazyalna na miejscowy cmentarz, gdzie złożono ją w grobowcu rodzinnym.



Nad grobem zasłużonego obywatela: Kondukt pogrzebowy śp. Ludwika Malickiego, honorowego obywatela m. Nowego Sącza. Fot. Bracia Dworzak, Nowy Sącz.

Z sali koncertowej

Zakończenie dobiegającego do kresu sezonu koncertowego zapoznało nas z kilku wybitnemi siłami artystycznemi.

Czelista Földessy poprzedzony ogromną reklamą zaprezentował się z jak najlepszej strony. Piękny ton, oraz posunięta do ostatecznych granic technika, zjednały mu uznanie krakowskich melomanów. Młodociana Carmen Ossorio, 11-letnia pianistka hiszpańska, grała w przepełnionej sali koncert Beethovena, jak na swój wiek ze zdumiewającą techniką, odczuciem stylu oraz umiejętnem zastosowaniem efektów dynamicznych.

Ze śpiewaków popisujących się ostatnio największą senzacyę wzbudził Pawłowski, wybitnie bohaterski tenor, mający najpiękniejszy materyał głosowy, jakim Bóg może człowieka obdarzyć.

W najbliższym czasie odbędą się trzy wieczory muzyki Brahmsowskiej z okazyi obchodu jego rocznicy śmierci. Poprzedzone one zostaną prelekcyą dra Józefa Reissa. W koncercie symfonicznym poświęconym twórczości Beethovena oraz Brahmsa solistą będzie Mieczyław Münz. *A.*

Z TEATRÓW

Nie apoteozuję pseudoklasyków i ich dramatów, lecz prawda każe przyznać, że małżeństwa w swych utworach kojarzyli według całkiem normalnych praw natury, bohaterom kazali mówić — choć bujno, kwieciście i okrągło — przecież ze sensem i do sensu, a jeśli im coś kazali czynić, to w każdym razie rzecz dana wykonać się dała, bez względu na to, czy to miała być zbrodnia, czy też uczynek szlachetny. Inaczej ma się sprawa z romantykami, ale oczywiście nie z takim Mickiewiczem, Zanem, Chodźką, nawet Odyńcem, lecz z tymi „rozczochranymi", którzy jedli dobrze, pili jeszcze lepiej (słowa Fr. Morawskiego), a po nocach wzdychali, jęczeli i wszechświatu głosili, że chcą „ludzkość uszczęśliwić".

Tych to romantyków kuzynkiem po mieczu i ką-

dzieli jest p. Kaz. Andrzej Czyżowski wraz ze swą „Dziwną ulicą“. Żaden to kubista, formista, eks pressyonista ni futurysta! (Takie epitety przysługują tylko pomysłowym dekoracyom p. I. Galla). Najzwyklejszy to w świecie w swym utworze romantyk, spóźniony w narodzinach o całe lat sto... W wspomnianym utworze bohater Andrzej (autorowi też Andrzej na imię!) ma już dość tego — psiakrew! — życia!! Trzeba ludzkość „dźwignąć, uszczęśliwić i publiczność nią zadziwić“ — zatem pije dobrze wraz z kamratami, poczem wszyscy leżą na ziemi na wznak, wywijając w powietrzu odnóżami przedniemi i tylnemi, jak na przedwojennych plakatach robactwo odurzone zacherlinem... Potem spotyka bratnią a raczej siostrzaną duszę w prostytutce, zawiera pakt ze szlif.erzem, chce świat wyprowadzić na świeże powietrze, lecz, niestety; tłum i władza rządowa potępiają Andrzeja... Czeka więc ze swą umiłowaną aż się narodzi nowy człowiek, który ideę papy (mniejsza o to: duchowego czy fizycznego) ucieleśni i urzeczywistni... Przedtem jeszcze śladem romantyków przechodzi przez scenę skondensowany (bez angielskiej puszki) cały dotychczasowy ciąg dziejów ludzkości: Kain, Abel, Salome, Dante, Hamlet, Charon i t. d. i t. d., brakuje tylko Bajrona, Goethego, **Mickiewicza** i Słowackiego, a bylibyśmy świadkami czterech na scenie samobójstw.



Z sali koncertowej: Carmen Ossorio, 11-letnia pianistka hiszpańska.

Czy pan Czyżowski ma talent, tego nie wiem... Gdyby ktoś na podstawie pierwszych powieścideł zakazał był pisać Krasińskiemu, byłby dziś żuty w piekle przez samego Disa... Pomylić się łatwo, a trudno być prorokiem we własnej ojczyźnie futurystycznej. Wobec tego sąd o autorze i jego dziele zostawiam Bogu, potomności i — samemu autorowi...

Wobec tego chodźmy na — „Żydówkę“... Tam dużo przyjemniej i przytulniej, niż w towarzystwie mordercy *a la* Kain lub Szlifierz. Prawda, że ściśnięcie i wepchnięcie tłumu, procesyi itp. w brudne płótna ciasnej sceny apetyczne nie jest, ale zato... żydówka Rachela, czy to w interpretacyi p. Jaworzyńskiej, czy p. Jakubowskiej, nagrodzi dobrze braki inne... Nie tu miejsce rozwodzić się nad różnicą obu artystek w grze i śpiewie; zaznaczam tylko krótko, że obie stoją w tej partyi na bardzo wysokiej wyżynie... P. Mazanek (Brogni) i p. Orłowski (książę Leopold) śpiewali bez zarzutu. P. I. Mann liczy po dobno partyę Eleazara do najlepszych. Podpisanemu atoli wydało się, że śpiewał ją z wysiłkiem, mało swobodnie. *b—t.*



Z teatrów: P. Jaworzyńska, art oper w roli Racheli. („Żydówka“ op. Halevy'ego) Fot. art. „Studio“.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego